



FRANCISZEK KARPIERZ

Strzelec Franciszek Karpierz, rolnik, kawaler.

17 września 1939 roku dostałem się do niewoli sowieckiej i byłem zabrany jako jeńiec. Miejscowość, gdzie byłem zabrany, nazywa się Borszczów.

Pierwszy obóz był w Kamieńcu Podolskim, drugi w Tiotkinie, trzeci w Krzywym Rogu, czwarty koło Przemyśla, piąty w Jaworowie, szósty w Czerlanach, siódmy – więzienie w Starobielsku. W pierwszym obozie pracy nie było, lecz warunki żywnościowe, higieniczne i kwatery były straszliwe, trudno sobie jeszcze dzisiaj wyobrazić, jak się to przeżyło.

W obozie trzecim zaś byliśmy zmuszani głodem, siłą wypędzani do ciężkich robót w kopalniach rudy żelaznej. Wynagrodzenia za pracę nie było żadnego, higiena i opieka lekarska była tak słaba, że nie dawała prawie żadnej pomocy, więc wszy były u każdego z nas przez całe dwa lata niewoli. Gdy który z nas był chory, to lekarz nazwał go symulantem i kazał wypędzić do roboty. Zamykali nas do aresztu na kilka dni i namawiali do podpisu na obywatela sowieckiego. Pracowaliśmy też przy budowie drogi asfaltowej z Przemyśla do Lwowa, a później przy budowie lotniska.

Przebieg dnia pracy był od świtu do nocy. Jeżeli ktoś nie pracował czy też z innych powodów, jak na przykład był stary, chory lub słaby, to dostał takie wyżywienie, że zaledwie się utrzymał przy życiu.

Władze NKWD odnosiły się do nas jak do największych wrogów. Na każdym kroku prześladowali nas i śmiali się, mówiąc: „Widzisz ty swoje ucho? To tak i Polski nie *uwidisz*”. Gdy nadszedł dzień wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, to było nas dwa tysiące w obozie koło Gródka Jagiellońskiego. Cały obóz wyruszył pieszo obstawiony konwojem. Szliśmy aż do granicy sowieckiej, do Podwołoczysk. Po drodze, kto z jeńców nie mógł już dalej iść,

to został w tyle i tam go w rów i zabijali, tak zostawiali. Zginęło wielu kolegów, lecz pomoc nasza była bezskuteczna, bo byli wszyscy bardzo wyczerpani. Nazwiska też są [mi] nieznane. W Zborowie zostało zabitych sześciu kolegów, lecz tylko jedno nazwisko jest [mi] znane, był to Jan Kieliszek z Warszawy.

Z obozu zostałem zwolniony we wrześniu 1941 roku.

Przez cały czas niewoli miałem łączność, korespondowałem z rodzicami. Jednego miesiąca otrzymałem list, który brzmiał: „Kochany synu, nie pisz już do nas, bo my jedziemy do Rosji. Sowieci nas zabrali z całej kolonii i wiozą nas na Sybir. Wywożą nas za to, że jesteśmy kolonistami. Teraz czekaj aż dostaniesz adres”. Upłynął miesiąc, otrzymałem list już nie z Polski, a z Sybiru, adres był następujący: ałtajski rejon, miasto Nowosybirsk, Kureczyński leśny punkt. Gdy przeczytałem list, to mi się zdawało, że nie potrafię tego przeżyć. Jednak rodzice przeżywali straszne chwile przez dwa lata. Kiedy już w 1942 roku przyjechali na południe do Uzbekistanu, tam warunki życiowe jeszcze się pogorszyły i głód, który panował, wywołał epidemię. Więc ojciec pochował moje dwie siostry Rozalię i Eleonorę, później znowu brata Jana i matkę Marię. A wreszcie zmartwiony tym nieszczęściem sam skończył swe życie. I już pożegnałem się z tym, co było najmiłsze – to moja rodzina, która niewinnie została stracona przez Sowietów.

1 marca 1943 r.